



**Rec.: Danuta Zawadzka, Pokolenie klęski  
1812 roku. O Antonim Malczewskim i  
odludkach. Warszawa 2000.**

Dorota Siwicka

### III. R E C E N Z J E I P R Z E G L Ą D Y

Pamiętnik Literacki XCIV, 2003, z. 4  
PL ISSN 0031-0514

Danuta Zawadzka, POKOLENIE KLĘSKI 1812 ROKU. O ANTONIM MALCZEWSKIM I ODLUDKACH. Warszawa 2000. Wydawnictwo IBL, ss. 296. Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk.

Najważniejszym osiągnięciem książki Danuty Zawadzkiej jest nakreślenie wizerunku pokolenia, które dotąd za formację literacką uznawane nie było. Autorka nazywa je „pokoleniem klęski 1812 roku”. Można dyskutować, czy dobra to jest nazwa – słowo „klęska” nader często pojawia się w naszej historii literatury i nade wszystko kojarzy się z twórczością poetów-żołnierzy czasu drugiej wojny światowej. Jednakże autorka sugeruje to skojarzenie, jak sądzę, w pełni świadomie. W książce jest bowiem wiele sygnałów wskazujących, że właśnie spojrzenie ukształtowane przez XX-wieczne doświadczenia wojenne i znajomość literatury próbującej to doświadczenie wyrazić wnieść mogą wiele do zrozumienia literackich losów generacji o przeszło wiek starszej. Toteż wojna, skrajność przeżyć, które ona przynosi, i równie dojmująca trudność ich zapisania stają się ważnym zagadnieniem także tej pracy. Jej bohaterami są przede wszystkim trzej literaccy samotnicy: Antoni Malczewski, Aleksander Fredro i Kazimierz Brodziński, choć pojedyncze komentarze wspominają też innych pisarzy, jak Antoni Gorecki, Franciszek Morawski, Kantorbery Tymowski. Rzecz dotyczy bowiem żołnierzy-napoleończyków. Jest to zatem grupowy portret twórców, dla których decydującym przeżyciem stała się kampania 1812 roku, a dokładniej – jej klęska.

Byli niemal równolatkami. Kazimierz Brodziński, Antoni Malczewski i Aleksander Fredro mieli okazję spotkać się na wojnie (w Modlinie, przed kampanią 1812). „Ze wszystkich stron dawnej Polski ciągnęli mężczyźni. Kto się jeszcze nie zaciągnął, idzie teraz. Z odległości przeszło stu pięćdziesięciu lat rozróżniamy w tłumie wojska, w ciągnących po drogach Księstwa grupach przyszych żołnierzy bezimienne jeszcze wtedy twarze. Oto miga czerwonołosa głowa Aleksandra Fredry, Brodziński opuszcza Kraków i jedzie w stronę stolicy, zbliża się do Warszawy osiemnastoletni Antoni Malczewski” – tak pisała niegdyś w biograficznej opowieści o Malczewskim Maria Dernałowicz<sup>1</sup>, zatrzymując w historycznoliterackim obiektywie ów moment: lato 1811, który mógłby być początkiem fascynującej opowieści o spotkaniu trzech wybitnych pisarzy. Niestety, o spotkaniu takim niczego nie wiemy, nie ma dowodów, by się znali. Później także nie łączyły ich żadne więzi, a różne drogi literackie poprowadziły Brodzińskiego, Fredrę i Malczewskiego w całkowicie odmiennych kierunkach. Zauważa Zawadzka: „Hasła rozpoznawcze ich twórczości – idylla, humor, pesymizm – sprawiają, że znajdują się w zupełnie odrębnych działach historii literatury i ryzykownie wygląda zamiar przypisywania im choćby zbieżnej wizji świata” (s. 76). Rzeczywiście, rzadko pisano o nich razem. Kazimierz Wyka umieszczał twórczość Fredry poza pokoleniami literackimi tamtych czasów, wskazując na całkowitą tego pisarza samotność. Traktując *Trzy po trzy* jako pierwszy w literaturze polskiej dokument nowożytnego przeżycia młodzieńczego, stwierdzał w jednym z rozdziałów *Pokoleń literackich*: „Ponieważ dokument to jedyny w swej przedwczesności, nie może przeto mieć

<sup>1</sup> M. Dernałowicz, *Antoni Malczewski*. Warszawa 1967, s. 59.

charakteru pokoleniowego”<sup>2</sup>. Niemniej dostrzegał Wyka pewne podobieństwo Fredry i Malczewskiego, u obu bowiem rezultatem wojennego doświadczenia stać się miał spreczny z romantyczną legendą epopei napoleońskiej „trzeźwy i dlatego dzisiaj żywotny artystyczny pesymizm, narodzony z poznania prozaicznych i okrutnych upadków rzeczywistości [...]” (cyt. na s. 115). Nieco inaczej o pamiętniku tym pisał Wyka we wstępie do pierwszego tomu *Pism wszystkich Fredry*, nazywając *Dziennik wojskowy z 1813 r.* Kazimierza Brodzińskiego „załącznikiem pamiętnikarskim” do *Trzy po trzy*. „Myśli ich i przeżycia zetknęły się jednak wielokrotnie, a krótkie ich zestawienie dać może pojęcie zarówno o tym, co było wspólne dla roczników Fredry [...], jak o oryginalności i bogactwie duchowym Fredry w *Trzy po trzy*”<sup>3</sup>. Wspólne zaś dla Brodzińskiego i Fredry było, wedle Wyki, doświadczenie straszliwego odwrotu 1812 roku i podobne okazać się miały ich ówczesne obserwacje na temat tak polityki, jak ludzkich zachowań, u obu zapowiadające rozczarowanie i melancholię, obu skazujące na obcość wobec wzlotów romantycznego heroizmu. Doświadczenia Fredry z przeżyciami Brodzińskiego i Malczewskiego zestawiała też Krystyna Poklewska w monograficznej książce o komediopisarzu<sup>4</sup>.

Czy zatem istniało pokolenie „starych ułanów”? To pytanie pojawia się w tytule jednego z centralnych rozdziałów pracy Zawadzkiej. Jest ono w intencji autorki retoryczne, gdyż jej wysiłek zmierza do przedstawienia wyrazistej wspólnoty pokoleniowej. Lecz zrazem autorka pokazuje, jak to się stało, że Brodziński, Fredro i Malczewski za przedstawicieli pokolenia uznani być nie mogli, że – choć każdy z nich odniósł indywidualny sukces – to w niepamięć pójść musiało to, co ich połączyło. Pokazuje zatem, jak na klęskę literackiego niedopowiedzenia skazane zostało jedno z najważniejszych polskich doświadczeń historycznych.

Portret „starego ułana” – tak, jak widzi go autorka – jest pod wieloma względami przeciwieństwem owej postaci, którą znamy z przekazów romantycznych, a która stała się uosobieniem wartości organizujących polską wyobraźnię zbiorową: mitu Napoleona, księcia Józefa, legionów, Samosierry. Dawny żołnierz napoleoński, najczęściej pochodzący z ludu wiarus, był wszak nie tylko jednym z ulubionych bohaterów poezji popularnej, czyniącej z niego reprezentanta patriotycznych cnót. Pamiętamy, jak Maria Janion i Maria Żmigrodzka wskazywały w *Romantyzmie i historii* na złożoność misji, jaką powierzony „staremu wiarusowi” największe dzieła romantyków, szczególnie te pisane po powstaniu listopadowym<sup>5</sup>. Kapral z III części *Dziadów* czy Grzegorz z *Kordiana* to bowiem ważne postacie dla młodego romantyka. Maksymalizmowi wzniosłych marzeń, szaleństwu rozumu i serca, indywidualistycznemu buntowi przeciwstawiali powagę autentycznego życia i doświadczenia, prostą wiarę, przywiązanie do „prawd żywych”. Spotkanie „starego” z „młodym” i konfrontacja ich postaw stawały się zatem szkołą kształtującej się szybko romantycznej postawy wobec Historii. Owo spotkanie było możliwe dzięki Słowu, a więc za pośrednictwem żołnierskich opowieści o wielkim wodzu, którego prowadziła jego „gwiazda”, o malowniczych polach bitewnych, o poświęceniu, ofierze, bohaterstwie, o tym wszystkim, co składało się na epopeję, tym bardziej wymowną, że przybierającą kształt prostej gawędy. Gawęda napoleońska była, jak wiadomo, jedną z form romantycznej „pieśni gminnej”. Lecz Brodziński, Malczewski, Fredro nie stali się wajdelotami tej pieśni. Choć debiutowali i tworzyli w dobie panowania napoleońskiej legendy rycerskiej i mitu poety-żołnierza, to – jak pisze Zawadzka – nie oni je tworzyli. Byli uczestnikami, na własne oczy oglądali, lecz niczego „młodym” nie opowiedzieli. I nikt ich dzieł nie wiązał z napoleońską epopeją, bo

<sup>2</sup> K. Wyka, *Pokolenia literackie*. Kraków 1989, s. 203.

<sup>3</sup> K. Wyka, wstęp w: A. Fredro, *Pisma wszystkie*. Oprac. S. Pigoń. T. 1. Warszawa 1955, s. 141.

<sup>4</sup> K. Poklewska, *Aleksander Fredro*. Warszawa 1977.

<sup>5</sup> M. Janion, M. Żmigrodzka, *Romantyzm i historia*. Warszawa 1978.

też oni sami wspominali o swych przeżyciach najwyżej w zapiskach przeznaczonych do szuflady i nie szukali w podobnej tematyce literackich inspiracji. Można więc powiedzieć, że tych trzech połączyło milczenie. Połączyło ich to, co oddzielić ich musiało od „młodych”, od nadchodzącego pokolenia.

Dlaczego nie zostali powołani na świadków epoki? Zawadzka cytuje zdanie Wacława Berenta, którym kończył on swą opowieść o generale Dąbrowskim: „Dla zmyślonych Odyseuszów zamierała pamięć o Troi” (cyt. na s. 77). Właśnie Berentowskie myślenie o kulturze stało się ważną inspiracją dla autorki, podejmującej rozróżnienie między „bios” historii – a więc działaniami, przeżyciami i postawami ludzi bezpośrednio historię tworzących – oraz jej „logos”: dziełem świadomości historycznej utrwalonej w pamięci pokoleń na podstawie legend, opracowań, pogłosek czy rozpowszechnionych mniemań. W rozdziale *Napoleończycy a przelom romantyczny* Zawadzka opisuje zatem romantyczną historię pamięci o legionistach, wskazując, że zamierała ona wprost proporcjonalnie do stopnia popularności legendarnych „mniemań” na ich temat. Taki był los pierwszej generacji poetów-żołnierzy (z Cyprianem Godebskim, Andrzejem Brodzińskim, Wincentym Reklewskim), którzy stając się uosobieniem ideałów zbiorowości przestali istnieć jako twórcy indywidualni. Zagarnęła ich legenda – autorzy obozowych piosenek, w kwiecie wieku polegli w boju, zyskali nieśmiertelność jako mityczne ucieleśnienie jedności słowa i czynu, wzór poezji bez reszty oddanej sprawie. Patent na nieśmiertelność wystawiła im śmierć sama: Godebskiemu pod Raszynem, Reklewskiemu w moskiewskim lazarecie, starszemu z braci Brodzińskich – nad Berezyną. Stali się umarłym wojskiem, które rozślawiał Mickiewicz w prelekcjach paryskich, widząc w nich – niczym w „śpiących rycerzach” – zapowiedź zmartwychwstania polskiej armii.

Młodszy Brodziński, Fredro i Malczewski przeżyli. Czy mogli stać się pomnikami, żyjącymi i mówiącymi, wspierającymi swymi głosami powstającą legendę? Czy mogli stać się nimi, chcąc mieszkać w kraju? Udało się to po trosze Goreckiemu – na tyle, by Mickiewicz uwiecznił go w *Dziadach* – przede wszystkim jako autorowi politycznej bajki *Furmani*, za którą na osobisty rozkaz księcia Konstantego przesiedział się w areszcie. Właśnie bajce – rzec można, gatunkowi byłych wojaków, bo chętnie i często przez nich uprawianemu – Zawadzka poświęca bardzo ciekawy fragment rozważań. Ale też tylko bajkę Goreckiego czy też tę opowiadaną w scenie więziennej dramatu przyrównywać można do budujących przypowieści układanych przez Grzegorza dla dojrzewającego Kordiana. Bajki powstające pod oficerskimi piórami (nie tylko Fredry i Brodzińskiego, ale też Dzierżykraja Morawskiego czy Ludwika Kropińskiego) charakteryzował raczej sceptycyzm moralny lub mizantropia – jak pisze Zawadzka, zestawiając ich ton z nastrojem *Zapisków starucha*. Tak jakby sarkazm owych bajek sam był ezopowym sposobem na wyrażenie czegoś, czego wyrazić wprost nie można. Nie tylko z powodu obcej cenzury. Człowiek bywa sarkastyczny także wtedy, gdy przepęlnia go gorycz, której musi dać upust, a jednak nie chce, by dla innych stała się ona trucizną.

Autorka stara się odtworzyć konsekwencje owego publicznie przemilczanego doświadczenia trzech twórców na podstawie pism pozostawionych przez nich w papierach takich, jak wspomnienia Fredry i Brodzińskiego, a także – poszukując jego śladów ukrytych w utworach drukowanych. I słusznie zauważa, że brak dialogu między reprezentantami „pokoleńia kłęski” a romantykami wynikał przede wszystkim z różnicy w pojmowaniu roli człowieka w Historii. Rok 1812 był bowiem nie tylko czasem odwrotu spod Moskwy, militarnym końcem „boga wojny” i upadku związanych z nim nadziei. Przynosił klęskę totalną, znaczącą kres długich zmagania na wielu kontynentach, przybierającą w świadomości ludzkiej charakter wręcz kosmiczny. W napoleońskim teatrze wojny współcześni widzieli „mityczną walkę Bonapartego z bogami starego ładu, drugie stworzenie świata, a już powszechnie, nawet w polskim piśmiennictwie, czyn nowego Prometeusza. Toteż druzgocąca przegrana w Rosji nie była katastrofą jednego narodu – jak w przypadku rozbiorów i powstań –

lecz stawiała pod moralnym znakiem zapytania inicjatywę człowieka jako gospodarza historii, świata” (s. 94). Konsekwencją doświadczeń wszystkich trzech – Malczewskiego, Brodzińskiego i Fredry – miał się stać „lęk przed Historią” jako nieubłaganą machiną działającą, przynoszącą nie tylko „okropności wojny” i bezmierne cierpienie, ale także niszczącą wiarę w sprawczą moc ludzkich wartości.

Przedmiotem rozważań nie są tu jednak historiozoficzne poglądy, tych bowiem – jak twierdzi autorka książki – Malczewski, Brodziński i Fredro wprost raczej nie wypowiadali. Choć warto by się przyjrzeć w tym kontekście np. uwagom Fredry z *Trzy po trzy*, będącym jawną jego polemiką z historiozoficznymi poglądami Mickiewicza, przedstawionymi w prelekcjach w związku z pamiętnikiem generała Józefa Kopcia (kurs II, wykłady XXIII, XXIV). Dotyczyła ona roli Opatrzności dziejowej, w której działanie Fredro pozwalał sobie wątpić. Jednakże gdy Zawadzka pisze o „lęku” napoleończyków, wskazuje, że najistotniejsza była ich emocjonalna postawa, negatywnie barwiąca wyobrażenia o Historii. Ów lęk różnie się potem przejawiał i w ich publikowanej twórczości: „Bądź przez ucieczkę w mit i filozofię »usunięcia się«, która staje się fundamentem sielanki Brodzińskiego, bądź przez wprowadzanie Historii do świata przedstawionego, jak w *Marii*, ale w postaci Molocha i maskarady”, bądź wreszcie – u Fredry – w „oswajaniu Historii przez śmiech i inne sposoby deheroizacji” (s. 77). Zgodnie z założeniem tej książki tylko *Maria* staje się tu przedmiotem obszerniejszej interpretacji, podjętej z takiego właśnie punktu widzenia. Ale jest to dobra pozycja wyjściowa do ponownienia refleksji nad koncepcją sielanki Brodzińskiego i rozwinięcia pomysłów pojawiających się już w pracach badaczy tego tematu – Aliny Witkowskiej czy Czesława Zgorzelskiego. I niewątpliwie też analiza Fredrowskiego śmiechu nie może pomijać wniosków płynących z nakreślonego tu kontekstu. Rzecz nie dotyczy tylko *Trzy po trzy*, wspomnień, które od klęski się zaczynają i cały czas o klęsce traktują, a mimo to, lub może właśnie dlatego, prezentuje w nich Fredro arcydzielność jemu tylko właściwego humoru. Kontekst wspólnoty napoleońskich doświadczeń wydaje się też zasadniczy dla jego komediopisarstwa. Bo właśnie napoleońskie tło najwięcej wnosi do zrozumienia istoty tego śmiechu – reakcji czy wręcz jedynej godnej człowieka odpowiedzi na ponurą grę, w której zawsze wygrywa z nami los, podobno ślepy, lecz jakże celnie trafiający.

Omawiając w *Pokoleniach literackich* historyczno-polityczne podglebie sporu romantyków z „pseudoklasykami” Wyka – przypomnijmy – pisał: „Ta epopeja, jej skutki duchowe i polityczne, zupełnie inaczej widziane przez młodych, inaczej przez pseudoklasyków, stanie się ukrytym i głównym zarzewiem wielkiego sporu literackiego, poprzez który romantyzm zaszczerpia w Polsce swoje idee i formy artystyczne” (cyt. na s. 83, przypis 29). Książka Zawadzkiej uświadamia raz jeszcze fakt pozornie oczywisty, który jednak w świetle jej rozważań zaczyna dziwić – mianowicie, że twórczość Malczewskiego, Fredry i Brodzińskiego nie stawia ich ostatecznie po żadnej stronie tego sporu, że pozostali – jak nazywa ich autorka w podtytule swej pracy – „odludkami”. „Odludkiem” okazał się nawet Brodziński, choć to od jego nazwiska rozpoczynają się podręcznikowe ujęcia owej najstynniejszej walki polskich literatów. A można by przecież zapytać, jak to się stało, że kiedy ich własne doświadczenia odebrały im możliwość zaufania dziejotwórczej sile człowieka i zamknęły drogę do romantycznego pojmowania Historii, to nie opowiedzieli się jednak po stronie wartości przyświecających klasykom, że ich gorycz i rozczarowanie nie zmieniły się w pochwałę wyższego prawa, normy, autorytetu, lojalności, co stało się udziałem wielu spośród tych, którzy – jako ludzie już dojrzały – przeżyli napoleońską zawieruchę. Czy rzeczywiście decydujący okazał się ich wiek? Czy to fakt, że ich spotkanie z realiami wojny było przygodą dwudziestolatków, zadecydował właśnie, iż sprzeciw wobec brutalnie obnażonego zła świata i natury ludzkiej wyrazić musieli w formach nowych, a przynajmniej, by tak rzec, naładowanych nową energią – w melancholijnej powieści metafizycznej, w śmiechu zbyt głośnym, by mógł być śmiechem klasyka, w odlocie do Arkadii? Zawadzka tylko

dotyka tej kwestii, szczególnie wówczas, gdy w rozdziale *Czy istniało pokolenie „starych ułanów”* analizuje znaczenie pojawiającej się w ich myśleniu opozycji „skrzydlatej młodości” i „znużonej starości” (s. 141–148). Jakaś tajemnica tu jednak pozostaje.

Autorka kieruje swe rozważania w inną stronę. Próbuje umieścić twórczość Malczewskiego, Brodzińskiego i Fredry w perspektywie bardziej ogólnego, bo obejmującego także wiek XX, wojennego syndromu literatury polskiej. Hasłowo pojawia się tu nazwisko Marii Janion jako tej, która w rozprawie *Wojna i forma* ów syndrom wyraziście określiła, wiążąc jego genezę z romantycznym tyteizmem<sup>6</sup>. Powołując się na sformułowania Janion, iż wskutek perypetii historycznych wytworzyło się w świadomości polskiej uprzywilejowanie wzorców i wartości heroicznych, a więc przekonanie o niepodważalnym priorytecie tego, co „społeczne”, „narodowe”, „wspólnotowe”, wobec jednostkowego, osobistego, intymnego, prywatnego, Zawadzka buduje kontekst dla sytuacji literackiej poetów-napoleończyków. Gdyż właśnie owa tradycja heroiczna, której, jej zdaniem, uczono się nie tylko od Mickiewicza, lecz i wcześniej, np. od Niemcewicza, sprawiła, że dla twórczości wyrażającej wojenne doświadczenie napoleończyków „nie było miejsca w systemie literatury polskiej – najpierw, aby się mogła ona w zbiorowym manifeście ujawnić – potem, aby została zauważona”. Autorka uważa bowiem, że wszyscy trzej podważali wartość postawy heroicznej. Co więcej, że „na twórczość Malczewskiego, Brodzińskiego i Fredry można też spojrzeć jako na pierwszą w dziejach literatury polskiej próbę obrony szczęścia prywatnego czy po prostu życia przed zakorzenioną u nas magią bohaterstwa” (s. 93). Problem heroizmu w ujęciu napoleończyków wydaje mi się najbardziej dyskusyjną kwestią tej książki. I nie sposób w tym względzie zgodzić się całkowicie z autorką. Fredro z pewnością nie był obrońcą ani szczęścia, ani życia, choć – to prawda – dojmujący wydawał mu się brak uniwersalnych wartości, obowiązujących w relacjach międzyludzkich zarówno na wojnie, jak w czasie pokoju. Nie jestem też pewna, czy sielanka Brodzińskiego rzeczywiście była pochwałą prywatności, czy też bardziej wersją utopii wspólnotowej. I podobnie mój opór budzą niektóre ze stwierdzeń Zawadzkiej, gdy interpretuje ona postawę przyjętą wobec heroizmu przez najważniejszego bohatera jej rozważań – autora *Marii*.

Malczewskiemu poświęcone zostały najobszerniejsze partie tekstu i wiele znalazło się w nich niezwykle interesujących uwag szczegółowych. Tym bardziej cennych, że Zawadzka prowadzi wywody w stałym i uczciwym dialogu ze swymi poprzednikami. Rozpoczyna zresztą od części zatytułowanej *Jak czytano „Marię” Malczewskiego*, stanowiącej zarys historycznoliterackiej recepcji dzieła, a najciekawszej niewątpliwie w tych momentach, gdy wskazuje, jak *Marii* nie czytano. Zauważa m.in., że skupiając się na filozoficzno-moralnej problematyce poematu badacze często omijali kwestię jego związku z napoleońskim fragmentem biografii twórcy. Pomijali zatem to, co było również doświadczeniem zbiorowym jego generacji, nie sądząc, aby miało to zasadnicze znaczenie dla zrozumienia arcydzieła. Przyjęła się teza, sformułowana przez Józefa Ujejskiego, a mówiąca o konwersji Malczewskiego: „Z natury czynnej i energicznej stał się autor *Marii* wyraźnie naturą kontemplatywną i refleksyjną. Z wesołego żołnierza stał się ponurym filozofem mistykiem” (cyt. na s. 33). Przemieniwszy się nieomal jak Gustaw-Konrad, Malczewski-żołnierz nie mógł mieć nic wspólnego z Malczewskim-poetą. Cytuję za autorką tę rzeczywiście charakterystyczną opinię Ujejskiego, by podkreślić, że jej koncepcja osoby poety jest zupełnie odmienna. I to z pewnością także stanowi wartość tej pracy. Zawadzka pokazuje bowiem jedność obu postaci – żołnierza i poety – a czyni to na wiele sposobów, analizując również wcześniejsze dokonania pisarskie Malczewskiego. I tak też odmiennie interpretuje *Marię* – źródeł świata przedstawionego w poemacie poszukuje konsekwentnie w tym doświadczeniu Historii, które stało się udziałem napoleończyka. O wiele mniej interesuje ją uniwersalizm

<sup>6</sup> M. Janion, *Wojna i forma*. W zb.: *Literatura wobec wojny i okupacji*. Studia. Red. M. Głowiński, J. Sławiński. Wrocław 1976.

filozoficzno-moralny poematu. Malczewski jest dla niej metafizykiem, ale – jak go nazywa – „metafizykiem polskości” (s. 55).

I tu na chwilę trzeba jeszcze wrócić do Modlina. Bo Malczewski – w odróżnieniu od Brodzińskiego i Fredry – w kampanii moskiewskiej przecież nie uczestniczył. Więc jeśli było takie miejsce i taki moment, kiedy to Historia objawiła mu się w swej niszczącej sile, kiedy go bezpośrednio dotknęła, to mogło stać się to tylko tam – podczas oblężenia twierdzy Modlin. Nie miał wówczas okazji oglądać tyłu „okropności wojny”, ile wydarzyło się podczas pamiętnego odwrotu Wielkiej Armii, opisywanych m.in. przez Fredrę w *Trzy po trzy*. Pozostawał w twierdzy, która nie walczyła, nie atakowała i nawet się przed atakiem nie broniła, lecz – bezsilna – powoli umierała. Wielce prawdopodobne, że nie wystrzelił ani jednego naboju. I ani jemu, ani jego towarzyszom nie dana była szansa na heroiczne czyny, gdyż front odsuwał się i wielkie bitwy rozgrywały się coraz dalej i dalej od Modlina. Wszystko, co ważne, miało się rozegrać już daleko. Malczewski widział jednak ludzi umierających – z głodu, na szkorbut przede wszystkim. I choć długi opór twierdzy zdawać się mógł komuś histrionicznym gestem, to ludzie umierali naprawdę.

Nie podzielam przekonania wyrażonego kilkakrotnie przez autorkę, że idąc na wojnę Malczewski pozbawiony był patriotycznego zapału. I dość zabawny wydaje mi się argument, że o mało „marsowej” jego postawie miałyby świadczyć m.in. słynna wycieczka poza mury twierdzy, kiedy to w przebraniu wybrał się po listy od kochanki, w wyniku czego wybuchło sporo zamieszania w obu wrogich obozach. Żartem lub nie żartem można by dodać, że właśnie „wojenny syndrom” literatury polskiej upewnia nas, iż miłosne wyprawy z oblężonej twierdzy nie świadczą o braku entuzjazmu czy „bezideowej” postawie wobec wojny. Myślę też, że Malczewski pragnął czynów heroicznych – czynów na miarę eposu. A nudne umieranie w twierdzy takim czynem nie było, choćby je potem jako heroiczne przedstawiano. Historia, z którą się zetknął, niszczyła nadzieje, odbierała zaufanie do wodzów. Ale może straszniejsze było to, że uniemożliwiała heroizm, zabijała go – nie tylko niweczyła wysiłki i czyniła bezradnym, ale także zamieniała epopeję w teatr pozorów, w grę interesów i ambicji. A z człowieka, który pragnął stać się herosem, czyniła ofiarę wielkiego – tak – ale oszustwa. Z podobnych zresztą powodów i Fredro pisał swój pamiętnik jako kpinę z epopei.

Autorka książki dobrze wie, że wysuwając tezę o podważeniu wartości heroizmu przez Malczewskiego czyni zamach na kolejne, utrwalone przez tradycję historycznoliteracką przekonanie. Przywołuje wszak zdecydowaną a reprezentatywną dla owej tradycji opinię Marii Żmigrodzkiej w tej sprawie. Mówiła ona, iż jedynie heroiczne poświęcenie pozostało wartością, której Malczewski nie poddał w swym poemacie surowemu osądowi i którą ocalił jako aksjologiczny fundament godności i niezłomności ludzkiej (s. 51). Dlatego też Zawadzka wysunąć musi wiele argumentów, które przekonują w tej przynajmniej kwestii, że *Marię* czytać można jako wyrażenie antywojenne przesłanie. Lecz nie jest to przesłanie z pozycji wartości cywilnych. Nie cywil pisał *Marię*. Dlatego heroizm w tym poemacie wydaje mi się wartością nie podważaną, lecz utraconą. I może wokół tej straty skupia się melancholia Malczewskiego.

Dorota Siwicka

SZTUKA PISANIA. O LIŚCIE POLSKIM W WIEKU XIX. Pod redakcją Jolanty Sztachelskiej i Elżbiety Dąbrowicz. (Recenzent: Ewa Paczoska). Białystok 2000. Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, ss. 508.

„List, właściwie mówiąc, jest rozmową pomiędzy oddalonymi od siebie osobami”<sup>1</sup>. Sformułowanie Euzebiusza Słowackiego zdaje się trafnie charakteryzować wielowiekowy

<sup>1</sup> E. Słowacki, *Dziela z pozostałych rękopisów ogłoszone*. T. 2: *O wymowie*. Wilno 1826, s. 21.